Nr. 3. We Lwowie dnia 16. stycznia 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Przegląd filozoficzny.

Rok I-szy, zeszyt I-szy. Warszawa 1897.

Redaktor Władysław Weryho.

Nie jest to tajemnica, o którejby dyskretnie milczeć wypadało, że jesteśmy nieprzyjaciółmi systematycznego myślenia, że poważne zastanowienie się nad rzeczą, pilne rozważenie tego, co przemawia za nią, a co przeciw niej, niecierpliwi nas i nuży. Stąd też o zagadnieniach największej wagi, nad których rozwiązaniem trawią dnie i noce najpotężniejsze umysły, wygłaszamy nieraz zdania z taką pewnością siebie, jak gdybyśmy je poznali do dna, zdania zazwyczaj płytkie, oparte, jeśli nie na prostych domysłach, to co najwięcej na pochwytanych w przechodzie wiadomostkach. Słowem, zamiast metodycznego i ścisłego myślenia, wymagającego pracy, wolimy improwizację, dla której wystarcza bujna fantazja i lekkomyślność. W skutek tego całe nasze życie umysłowe przedstawia z jednej strony niezwykłą ruchliwość, z drugiej dziwną pstrokaciznę. Co przedtem uznawaliśmy za prawdę i w jej obronie gotowiśmy byli walczyć na śmierć i życie, to wkrótce potem odrzucamy jako fałsz, grożący zatratą i poniżeniem. Z dziecinną lekkomyślnością chwytamy się każdej nowinki, która nas uderza swą nadzwyczajnością, a jednocześnie trzymamy się oburącz najniedorzeczniejszych przesądów i najzgubniejszych uprzedzeń dla tego tylko, że są nasze, chociaż są one nasze o tyle, że w okresie narodowego upadku zostały zaszczepione na naszym gruncie i rozrosły się dzięki sprzyjającej im ciemnocie. Przyjmując lub odrzucając jakąś kwestję naukową, jakiś kierunek myślenia, dopytujemy się w pierwszym rzędzie nie o to, czy odpowiadają one dokładnie znanym faktom, czy czynią zadość warunkom poznania, ale o to, czy się zgadzają z naszem usposobieniem, czy nie są w sprzeczności z naszemi wierzeniami i zapatrywaniami. Nie obchodzi nas wcale pytanie, o ile owe wierzenia i zapatrywania są słuszne. Są one dla nas wygodne pod jakimś względem, albo po prostu przywykliśmy do nich — i dla tego się ich trzymamy. Jeżeli zaś je odrzucamy, to dla tego, że nam się sprzykrzyły, że potrzebujemy zmiany. Tworzą się w ten sposób stronnictwa, które pod hasłem cywilizacyjnych prądów toczą z sobą zacięte walki o pojęcia i zasady, zgoła im nieznane i w czysto słownej szermierce zatracają powoli poczucie prawdy, ogłaszając za nią to, co schlebia ich namiętnościom.

Że wobec takiego stanu naszej umysłowości — wszelkie badania filozoficzne nie mogą się cieszyć wielkiem u nas uznaniem, zbytecznem byłoby dowodzić. W słodkiej drzemce dogmatycznej jedni ją lekceważą, biorąc je za jedno ze snem na jawie, z rozprawianiem o rzeczach, o których nic wiedzieć nie możemy; drudzy ich się boją, podejrzywając o dążności najniebezpieczniejsze. Z uprzedzeniem do filozofji występują nie sami tylko ludzie praktyczni, którzy zaprzątnieni konkretnymi stosunkami życia, nie mogą pojąć, na co zdać się mogą spekulacyjne wywody, mające wyłącznie do czynienia z abstrakcjami. Takiemuż uprzedzeniu ulegają nierzadko i uczeni w różnych zawodach. Utożsamiają oni filozofję z metafizyką w jej średniowiecznem znaczeniu, nie wiedząc, że filozofja w dzisiejszem jej ro-

zumieniu nie jest niczem więcej, jak syntezą wiedzy, usystematyzowaniem ostatnich wyników, do jakich w danym czasie doszła nauka na różnorodnych polach swoich dociekań. Że dla każdego specjalisty niezbędna jest znajomość współczesnej wiedzy w jej syntetycznem ujęciu, jasnem jest, jeżeli się zważy, że oddzielna jakaś nauka jest tylko cząstką wiedzy ludzkiej, że ostateczne rozstrzygnienie wielu jej pytań zależy od wyrozumienia jej stosunku do zagadnień wiedzy w ogóle. Do najzaciętszych jej przeciwników należą ci, co, wychodząc z założenia, że życie narodowe jest tak ściśle związane z pewnemi wierzeniami i zapatrywaniami, że każde targnięcie się na nie jest zamachem na byt narodowy, upatrują w filozofji największe niebezpieczeństwo dla naszej przyszłości. Potrzeba wiedzieć, że wierzenia te i zapatrywania mają swe źródło w mistycyzmie, którego nasi przedkowie z XV. i XVI. wieku zgoła nie znali, który zawitał do nas wraz ze średniowiecznym obskurantyzmem i ostatecznie wybujał pod wpływem klęsk narodowych i niemieckiego romantyzmu. Niezawodnie, że w chwilach narodowego pogromu był on dla nas balsamem, kojącym cierpienia i pokrzepiającym na duchu. Kiedy bowiem wszystkie ziemskie potęgi przeciwko nam się spiknęły, jedna tylko wiara w nadprzyrodzoną pomoc mogła nas uchronić od rozpaczy Z tem wszystkiem nie powinniśmy zapominać, że mistycyzm tem jest dla cierpień moralnych, czem dla fizycznych jest morfina. Koi ona bole, ale ich nie leczy, koi zaś je kosztem organizmu, gdyż go rozstraja, sprowadza w nim zaburzenia, które czynią go w końcu niezdolnym do życia. Bądź co bądź, raz musimy już przyjść do przekonania, że podstawy narodowości nie leżą w szczególnych jakichś wierzeniach i zapatrywaniach, ale w uczuciach: w pewnym nastroju ducha, stanowiącym indywidualność narodu, w przywiązaniu do rodzinnej ziemi i mowy, w rozumnej, nie zaś bałwochwalskiej czci dla dziejowej przeszłości i w czynnej wierze w przyszłość narodową. Naród, który w swej piersi przechowuje wszystkie te uczucia, nie potrzebuje się obawiać żadnych teorji naukowych, żadnych kierunków filozoficznych, które są przeciwne panującym w danym czasie wierzeniom i zapatrywaniom. Te bowiem będąc wynikiem powszechnego doświadczenia, muszą się zmieniać odpowiednio do zmian, jakie w ciągu doświadczenia następują w skutek jego pagłębiania się i rozszerzania jego zakresu. Co się tyczy uczuć narodowych, to nie ma dzisiaj takiego kierunku myślenia, któryby był dla nich wrogim, któryby, jeżeli nie wprost to przynajmniej ubocznie działał na nie paraliżująco. Kosmopolityzm, materjalizm, które są doktrynami mniej lub więcej wyraźnie występującemi przeciwko narodowości, straciły swe znaczenie i należą dziś już do przeszłości. Że zaś bez oświaty, która jest jedna dla wsoystkich narodów, same uczucia chociażby najgorętsze, nie wystarczają do życia, pouczają nas o tem dowodnie tak dzieje powszechne, jak i nasze własne.

Powyższe uwagi nasunęły się mi mimowoli z powodu rozpoczętego wydawnictwa, którego pierwszy zeszyt pod tytułem: „Przegląd Filozoficzny“ ukazał się przed kilku tygodniami. Zachodzi bowiem pytanie, czy przy znanym wstręcie naszego społeczeństwa do zagadnień filozoficznych i do ich traktowania ze stanowiska ściśle naukowego, znajdzie ono dostateczną ilość czytelników? Nie bierzemy tu w rachubę Galicji, gdyż na nią nie ma co liczyć pod tym względem. Pomimo dwóch uniwersytetów, w których wykłady filozofji są obowiązkowe, zdobyła się ona zaledwie na kilkunastu prenumeratorów. Dziwić się temu nie można. Wobec powszechnej politykomanji, jaka w niej zapanowała od pewnego czasu, jakie znaczenie mieć mogą zagadnienia, które z nią nic wspólnego nie mają! Tak samo niema co się oglądać i na Poznańskie, w którem duch ultramontanizmu stłumił wszelkie pokusy rozumu o zapewnienie sobie niepodległości w zdaniach, dotyczących spraw, wyłącznie do jego zakresu należących. Jedyna więc nadzieja leży w prowincjach, zostających pod zaborem rosyjskim. Jakoż, o ile mi wiadomo, prenumerata tam dopisała znakomicie. Czy utrzyma się ona stale na tem stanowisko? Trudno dziś odpowiedzieć na to pytanie. Godzi się tylko zaznaczyć, że „Przegląd Filozoficzny“, o ile można o tem wnosić z pierwszego jego zeszytu, zasługuje ze wszech miar na poparcie, nie tylko dla tego, że jest starann e redagowany podług programu, który odpowiada naszym potrzebom, ale w pierwszym rzędzie dla tego, że on jeden może w nas rozbudzić pewną samodzielność myślenia, wdrożyć nas do krytycznego sądu o rzeczach i wyrobić zdrowsze pojęcie o filozoficznych zagadnieniach i metodach naukowych. Tego nie dokażą dzieła, systematycznie traktujące o filozofji, gdyż dla ich przestudjowania potrzebne są pewne wiadomości, których nie każdy posiada, i cierpliwość, na którą nie każdy zdobyć się może. Takie tylko wydawnictwo, jak „Przegląd Filozoficzny, który z jednej strony stara się oznajomić swych czytelników z najważniejszemi pytaniami obecnej doby, przedstawiając je w sposób przystępny, ale zarazem z całą ścisłością naukową, z drugiej — usiłuje odzwierciedlić, o ile można najwierniej, ruch umysłowy, jak on się objawia u nas i zagranicą, może zachęcić do głębszych studjów nad filozofją.

Zadaniem „Przeglądu Filozoficznego“ nie jest bynajmniej propaganda jakiegoś wyłącz-

nego kierunku filozoficznego. To też do jego współpracowników należą przedstawiciele wszelkich kierunków. Każdy z nich ma zapewnioną zupełną swobodę zdania pod tym jedynym warunkiem, ażeby wypowiadane zdania były uzasadnione z właściwego sobie stanowiska. W ten tylko sposób społeczeństwo nasze może się dowiedzieć, czem jest filozofja, jakie są jej zadania i jakiemi drogami podąża ona do ich spełnienia. Powszechnem jest u nas mniemanie, że obowiązkiem filozofji jest podanie światu prawdy gotowej, absolutnej, słowem, dogmatu, któryby z jednej strony rozstrzygał wszelkie wątpliwości i zaspokoił raz na zawsze, naszą ciekawość, z drugiej — służył nam za drogowskaz w życiu praktycznem. Po bliższem rozejrzeniu się w różnych kierunkach filozoficznego myślenia, jak one się objawiają w traktowaniu tych samych przedmiotów, z łatwością przekonamy się, że zadaniem filozofji nie jest dogmatyzowanie, wpieranie w umysł tych lub innych zapatrywań, ale pobudzanie rozumu do samodzielnego myślenia. Nie narzuca ona swych poglądów w sposób adwokacki, polegający na odwoływaniu się do uczuć, do uprzedzeń, do rozlicznych względów natury czysto praktycznej; ale podaje je do swobodnego rozważania, przytaczając wszystko, co mówi za niemi i przeciwko nim, pozostawiając ostateczną decyzję rozumowi. Nie chodzi jej o wzbogacenie naszej pamięci pewnemi formułkami, szematami, dającymi się zastosować w razie potrzeby, ale o wyrobienie w nas przekonań. To, co przyjmujemy na wiarę, może być nieraz pożytecznem dla nas, ale nie nabędzie nigdy tej siły wewnętrznej, jaką się odznaczają zdania i zapatrywania bądź samodzielnie wyrobione, bądź przyjęte na pewnej podstawie, która nas moralnie zniewala do ich przyjęcia. Wtedy też przekonamy się, że gołosłowne występowanie przeciwko tym lub owym kierukom filozoficznym, przeciwko pewnym teorjom naukowym, nie jest niczem więcej, jak dziecinnem wygadywaniem na strachy, o jakich niańki i wiejskie baby bają. Niebezpieczeństwem grozi społeczeństwu nie ten lub inny sposób myślenia, ale w ogóle brak jego; nie ta lub inna teorja, zasada. ale spokojne bez nich obywanie się.

(Dok. nast.) *Władysław Kozłowski (Lwów).*

PANIENKA.

OBRAZEK.

(Ciąg dalszy).

Ciotka Tekla musiała już się załatwić z przełożoną, a ona dotąd nie rozmówiła się z Manią.

Strzepnęła kurz z nowego mundurka i wybiegła na korytarz.

W sypialni ubierała się Mania przed lusterkiem damy klasowej; koleżanki otoczyły ją, przyglądając się ślicznej toalecie.

— Stasiu, jadę na wyścigi — zawołała — patrz jaka suknia, a kapelusz?

Sukienka była z różowego batystu, kapelusz z różami, krepy świeżutkie, jak buziak ślicznej Mani.

Przy lustrze leżały dwie żółte róże, które jej ofiarował kuzynek.

Stasia stanęła przy stoliku.

— Weź sobie te róże, Stasieczka, nie pasują do mojej sukni — żółte i różowe! Panna Lebeuf z czerwoną kokardą przy piernikowej sukni.

Zaśmiały się wszystkie chórem: świetność Mani podniecała ich wesołość: zazdrościć jeszcze nie umiały, a cieszyło je to, że taka śliczna panna z ich pensji wyszła.

Stasia wymuszonem spojrzeniem starała się zwrócić jej uwagę, ale Mania szczebiotała dalej o przyjemnościach, które ją czekają.

— Cały tydzień zabawimy w Warszawie, a potem zagranicę. Mama chce jechać do Trouville, tatuś radzi Ostendę. Mnie tam wszystko jedno, gdzie pojedziemy, byleby podróżować, jak najdłużej. Z geografji miałam zawsze zły stopień, ale gdy wrócę z zagranicy, będę miała więcej do powiedzenia o Europie, niż sam pan Nałkowski, zobaczycie! Może się już nigdy nie zobaczymy? Cha, cha, cha! Mnie się zdaje, że pensja, profesorowie, nawet przełożona, to był sen tylko, czasami przyjemny, często nieznośny, prawda?

Zgodziły się na to wszystkie.

— Koleżanek żal tylko — dorzuciła jedna.

— No tak, ale przestaniemy nosić mundurki. Nigdy nie kupię sobie bronzowej sukni, ani kapelusza z granatową wstążką.

Wobec strojnej Mani każda radaby się pochwalić wykwintnym gustem i świetnemi planami na przyszłość.

Stasia milczała, wpatrzona smutnemi oczami w Manię.

Po Ostendzie i Trouville niepodobna było zaimponować czemś bardziej arystokratycznem.

Krasicka, znany leniuch, ale wesoła i serdeczna dziewczyna oświadczyła, że te wszelkie paradne kąpiele nic a nic jej nie obchodzą.

Ona jedzie do Zakopanego. Sprawi sobie szarawary, serdak i zwiedzi wszystkie szczyty, nawet na Łomnicę pójdzie!

W szarawary żadna nie wierzyła; zaprzeczać jednak nie śmiały, bojąc się zdradzić z nieświadomością zwyczajów górskich.

Krasicka była z nich najstarsza, znała świat, gdyż w ostatnim karnawale była na balu u swej babki, u której nawet ksiądz biskup bywa czasami.

— Będę na Wawelu! — powiodła po całej gromadce tryumfującym wzrokiem – było nas dwanaście pensjonarek, mogłabym dwu nie liczyć wcale, gdyż Mania zawsze sama zjadała wszystkie przysmaki, a Lola nie lubiła pożyczać chustek do nosa, te dwie możnaby policzyć za półpensjonarki, ale że dwanaście stanowi tuzin, jeżeli się nie mylę, niech więc i one po raz ostatni ,jako dobro koleżanki figurują, zgoda?

— No, cóż dalej?

— Na Wawelu złożę od nas wszystkich wieniec, ale wybór miejsca sobie zarezerwuję.

Podniósł się gwar straszny.

Projekt wywołał zachwyt, na ostatni warunek zgodzić się nie chciano; domagano się głosowania.

Tylko Mania zgadzała się na wszystko, przyglądając się przez ramię w lustrze damy klasowej.

Stasia milczała.

Na wieniec będą się składały, ona nie miała ani grosza.

W końcu zgodziły się wszystkie, że wolność wyboru należy się Krasickiej w nagrodę za dobry pomysł.

Domagały się tylko, ażeby napisała o tem do każdej z osobna.

— Dobrze, dyktujcie adresy. Ty, Sobolcia, zapewno na Łysej Górze zamieszkasz; z nas wszystkich ty jedna umiałaś poskramiać starą Lebeufcię, dla ciebie niema miejsca między zwykłemi śmiertelnikami.

Sobolcia w istocie na Łysej Górze mieszkała, ale na razie nie zmiarkowała złośliwej aluzji do usposobienia.

Krasicka tymczasem notowała adresy.

Stasia czekała z bijącem sercem, co powie Mania, ale ta tylko swój adres podała.

A więc nie myśli zabrać jej z sobą?

— Ja przez lato u ciotki mieszkać będę — rzekła, zdobywając się na spokój.

— Wiem — zawołała Krasicka – kocham ciotkę Teklę. Gdybym miała taką świętą w rodzinie, grzeszyłabym bezpiecznie, ufna w jej modlitwy.

— Cyt!... Pani przełożona!

Zamilkły wszystkie.

Krasicka machinalnie rzuciła notesik pod łóżko.

Był to tylko żart Loli, którą z powodu drobnej figurki i śniadej twarzy „pchłą“ nazywano.

— Pchła nigdy nic mądrego nie wymyśli — odezwała się Krasicka zła, że ją na pensjonarskiem tchórzostwie przyłapano.

Podniosła notesik z pod łóżka.

— Żadna z nas nie obawia się już wcale pani przełożonej, tylko „pchła“ to chyba jeszcze ze trzy miesiące będzie sypiała w czepku, z gramatyką pod poduszką, aż się oswoi z myślą, że nie jest już pensjonarką

„Pchła“ uśmiechała się złośliwie; ładna, zgrabniutka była, najsprytniejsza, lecz i najdokuczliwsza z całej klasy.

— A pocóż nas gorszysz, mówiąc o swych złych zamiarach. Możesz grzeszyć, ile ci się podoba, ale tu na pensji nie powinnaś mówić o tem wobec niewinnych dziewcząteк.

Krasicka uśmiechała się pogardliwie.

— Znać, że wczoraj jeszcze uczyłaś się francuskiej prozy za karę! Mów swój adres, ale że ci na kopercie dopiszę „pchła“, to o tem chyba nie wątpisz.

— Eh, mieszkam w Kurlandji, a ty za mało umiesz po niemiecku; należało myśleć o tem od pierwszej klasy, kiedyś się uczyła słówek..

– Nie udawaj mądrej, bo zamąż nie wyjdziesz! Na głuchej wsi tak łatwo zepsuć sobie opinję zbyteczną mądrością! Pamiętaj o tem; jak dorośniesz i porozumniejesz, przyznasz, że miałam rację.

Krasicka miała już wszystkie adresy.

Mania skończyła nareszcie zapinać rękawiczki; cała klasa obejrzała ją raz jeszcze od stóp do głowy.

— Śliczna! — szepnęły jednogłośnie.

Wyszły za nią na korytarz, doprowadziły ją aż do drzwi salonu.

Stasia została sama; rozejrzała się po sypialni.

Prawie ze wszystkich łóżek pościel już zabrano, pozostały tylko materace; gdzieniegdzie leżał fartuszek, stary bucik, kosz; nieład, smutna pustka wyglądała z każdego kąta.

Z podwórza dolatywał turkot odjeżdżających dorożek; za godzinę nie pozostanie żywej duszy w tym obszernym lokalu.

— Co ja teraz z sobą pocznę?

Kręciła palce, jak podczas wydawania bardzo trudnej lekcji.

Wiedziała, że ciotka Tekla nie może jej zabrać, druga ciotka utrzymywała pralnię na Nowym Świecie; dzieci czworo, mąż brutal, w niedzielę i święta upijał się akuratnie; dobrzy zresztą ludziska, przychylni dla niej, ale czyż podobna żyć z nimi w suterenach wśród balij z brudną bielizną, razem z praczkami i prasowaczkami.

Scisnęła skronie rękami.

Coś przecie musi się stać, cud jakiś -- tak przecież nie zostanie, zawieszona między niebem a ziemią..

Mania, zamożny dwór szlachecki, wszystko pierzchło jak sen, dlaczego?

Szła przez puste sypialnie, przez korytarze ciche; ruch cały skupił się w przedpokojach, na schodach, fala gości już odpłynęła, uczenice się rozpierzchły.

Przechodząc koło szóstej klasy, uchyliła drzwi, zajrzała do pustego pokoju.

Dziś zrana jeszcze miała opiekę, otoczenie, była taką jak inne, lepszą nawet... pierwszą uczenicą była

Teraz mogła iść, gdzie ją oczy poniosą, sama jedna, niktby się nie spytał, dokąd dąży i co z sobą zrobi.

Łzy stanęły jej w oczach.

Ławki, stół, tablica, stały się naraz bardzo drogie, bardzo bliskie, jakby istoty, z któremi się zżyła za lepszych czasów.

Zatrzasnęła drzwi spiesznie; koleżanki śmiałyby się z niej, że już pensji żałuje.

W poczekalni pusto.

Ciotka Tekla siedzi na ławce pod ścianą, spotniała, czerwona, trochę senna, trzyma pięknie oprawną nagrodę, zawiniętą w białą bibułkę.

Uwolniła się od obowiązków do trzeciej, a tu już czwarta dochodzi; nie wie, gdzie szukać Staśki.

Śliczna Mania odjechała sama z matką, widocznie po Staśkę później przyszlą.. chciała się z nią rozmówić.

Możeby pani przełożona jeszcze parę dni zatrzymała ją na pensji, parę dni tylko, dla sieroty byłaby to wielka łaska.

Sen ją zmorzył, mróżyła powieki, a białe skrzydła kornetu poruszały się zwolna.

I przez jedno mgnienie zdawało się już, że widać gdzieś w głębi jasność niebieską, a wśród obłoków jasne główki dziecinne... to jej dziatwa, ona je strzeże, pielęgnuje, kocha jak swoje, więcej nawet, kocha za siebie i za matkę... biedactwa... sieroty!

Ciotka Tekla często takie sny miewa.

(C. d. n.). *Ostoja.*

Świadomość narodowa u ludu.

(Ciąg dalszy).

Sporo analogji z tym stanem było na Rusi, która w powyższym szemacie naszym tylko pozorny stancwi wyjątek. I tam bowiem w przeszłości, zwłaszcza za czasów Kozaczyzny, więcej było niż teraz materjału do świadomości narodowej wśród ludu, gdyż popi znajdowali więcej karmu do odżywiania antagonizmu przeciw sąsiadom lub władzcom ludu Jeśli nie przyszło do całkowitego wyrobu zupełnej samowiedzy, to w znacznej mierze raz dla tego, że karmu tego z biegiem czasu zabrakło wśród stosunków politycznych, a powtóre — że ani rząd, ani szlachta, ani społeczeństwo polskie nie występowało nigdy przeciw narodowości ruskiej, owszem forytowano ją: nietylko akta rządowe i dyplomatyczne z kancelarji jagiellońskiej wychodziły w języku ruskim, ale język tego ludu był wszędzie w publicznych funkcjach używany, a polska szlachta i magnaci mówili nawet w domu po rusku.

Kościół zachodni, katolicki w trudniejszych — co prawda — był warunkach, bo nie mógł forytować nienawiści, ani też w nauce swojej opierać na tak skrajnych antagonizmach. Zadanie jego leżało w rozwijaniu dodatnich, harmonijnych skłonności natury ludzkiej. Toć i głos nieśmiertelnego Skargi brzmiał na nutę zgodności nawet wówczas, gdy gromem prawdziwego apostoła samowiedzy narodowej karcił stany sejmujące i żądał praw dla ludu:

— Wielmożni Panowie, nie kurczcie ojczyzny w sercach waszych.

Ależ tem większa zasługa tego duchowieństwa tam, gdzie ona drogą tej zgodności szczepi najpiękniejsze kwiaty uczucia ludzkiego i do ojczyzny niebieskiej prowadzi przez ojczyznę ziemską. Tak się dzieje w Chorwacji, gdzie przeto samowiedza narodowa u ludu podniosła się już do stopnia wyższego; tak bywa w Bośnji, gdzie poczciwego Franciszkanina, gdy idzie ulicą, spotykają tłumy wdzięczne ludu; tak zapewne bywało niegdyś w księstwie łowickiem — dobrach prymasowskich — skąd „księżacy“ przygotowywali odsiecz dla Warszawy w 1831 roku.

Czy tak u nas zawsze teraz bywa?

„W 1897 roku na Matkę Boską Gromniczną — pisze jeden z obywateli lwowskich — słyszałem w kościele Franciszkanów we Lwowio na nieszporach kazanie, w którem ksiądz, pragnąc uwydatnić wielkość poświęcenia się Matki Boskiej, która syna swego jednorodzonego ofiarowała na zbawienie ludzkości, uciekł się do antytezy świeckiej. Postawił tedy hipotezę, że gdyby nieprzyjaciel oblęgł Lwów i przyrzekł darować życie wszystkim mieszkańcom pod warunkiem, aby choć jedna z matek ofiarowała mu dziecko swoje, to żadna tego uczynić nie powinna, bo Bogu taka ofiara niemiła. Prochy bohaterskie Karlińskiego przewróciły się pewno w trumnie na taką nieszczęsną retorykę dzisiejszych epigonów już nietylko złotoustego Skargi, ale i owych poczciwych, opisywanych przez WPana, patrów i fratrów bośniackich, noszących przecież tę samą sukienkę św. Franciszka, co i nasi pod Strzelnicą“.

Surowy i prozaiczny protestantyzm mniej od kościoła wschodniego i zachodniego nadaje się dla natury ludów słowiańskich, uczuciowych, pełnych imaginacji, wrażliwości i temperamentu kobiecego, wymagającego plastyki i antropomorfizmu Dowód w słabej jego wziętości u Słowian, a tam, gdzie się wśród nich przyjął, uwieńcza go lud kwiatami obrzędodowości katolickiej. Racjonalizm ten wszakże Lutra i Kalwina oddał pewne usługi narodowości Słowian. Prozelici jego, chcąc sięgnąć do głębi mas ludowych, opierali propagandę na mowie ojczystej i wszędzie inicjowali literaturę narodową i ludową. W ten sposób dla samowiedzy narodowej ocalono naszych Śłązaków i Mazurów pruskich, tudzież Słoweńców, a częściowo też Słowaków i Łużyczan.

Czesi w tym koncercie stanowią pozorny wyjątek. Obok urzędowego katolicyzmu są oni przejęci tradycjami narodowego apostolstwa śś. Cyryla i Metodego, których husytyzm nie stępił. Nieustający prąd narodowy w kościele podtrzymuje wśród mas ludowych świadomość narodową. Na pracach jego w tym kierunku oparte dzisiejsze odrodzenie Czech.

Weźmy grupę innych czynników.

Kraje		Szlachta	Mieszczanie	Idea państwowa	Tradycja dziejowa	Świadomość narod. u ludu	Zdolność świadomości narod.
Polska		+	+ —	3	3	1	3
	Śląsk	—	—			2	
Ruś	Mała	—	—	1	2	1	2
	Biała	—	+	1	1	1	1
Moskwa		—	+ —	3	3	3	2
Czechy		—	+ —	3	3	3	2
Słowacja		—	—	1	1	1	1
Łużyce		—	—	1	1	2	1
Kraina, Styrja, Karyntja		—	—	1	1	2	1
Kraje serbsko-chorwack. plem.	Chorwacja	+	+	3	3	2	3
	Właściwa Serbja	—	+ —	2	3	3	2
	Czarnogóra	—	+ —	3	3	3	3
Bułgarja		—	+	2	2	3	3

Z szematu tego (gdzie + oznacza istnienie, a — brak danego żywiołu, lub czynnika) widzimy, że wszędzie tam, gdzie jest szlachta — istnieje silna idea państwowa, a obok tego — zdolność (i materjał) do wyrobienia świadomości narodowej nawet u ludu. Idea państwowa jest dobrym materjałem, dobrym karmem tej świadomości, a w tworzeniu państwa szlachta przeważny lub wyłączny brała udział. Tak było i tam nawet, gdzie tej szlachty (narodowej) teraz niema, a więc w Czechach, Serbji i Bułgarji.

Ale obok tego spostrzegamy inny, sprzeczny z tamtym, objaw: wszędzie tam, gdzie lud pozostawiony został własnym siłom, łacniej i łatwiej przychodzi do świadomości narodowej, niż tam, gdzie obok niego istnieje szlachta. Widać to na Czechach, Serbji, Bulgarji i na naszym Śląsku. Chorwacja wskazuje wprawdzie, że do pewnej miary może utrzymać się ten rozwój z pracą harmonijną szlachty, jeśli odpowiednio ułożą się jej stosunki do ludu. Ja też nie mówię o niemożliwości, jeno o częstszych objawach, o liczniejszych faktach, z których można wnioskować o większej łatwości rozwijania się pewnej idei. Powtarza się tu zjawisko to samo, co w świecie ekonomicznym: im dalej pewna grupa społeczna stoi po za systemem protekcyjnym, a bardziej pozostawiona sobie, tem prędzej rozwija siły i samodzielności, byle oczywiście był materjał po temu i warunki produkcji jakie takie. Na piaskach Sahary żadna produkcja niemożliwa, choćby się na pazury brano. Na Rusi lud pozostawiony samemu sobie, nie zdobył się na wyrobienie świadomości, bo mu brak tych warunków, tego materjału, brak idei państwowej; a słaba tradycja dziejowa o tyle mu pomaga, że mu wytwarza jaką taką zdolność do nabycia onej świadomości.

(C. d. n.). *Ew—an.*

Jubileusz.

(Ciąg dalszy.)

„Może — ale masz dużo wspólnego zemną. Wreszcie mojem zdaniem, mógłbyś się nawet poniekąd za kożuszek od śmietanki uważać. Chodź! A gdy jegomość, nazwany Stefanem, jeszcze się wahał, — dodał:

„Ależ chodź! wolno mi chyba wprowadzić gościa“ — dokończył zaś półgłosem, „jesteś mi potrzebny; — ja czuję się tak obcym w tem towarzystwie. Niechże będzie przy mnie choć ktoś z moich“.

Ostatni wyraz wymówił z naciskiem. Stefan serdecznie ścisnął jego rękę i nic nie odpo-

wiedział, a Bojarski, ująwszy go pod ramię, prowadził obok siebie. Fakt ten wywołał pewne zdziwienie w najbliższem otoczeniu jubilata. Nikt głośno nie wypowiedział uwagi, na chwilę przecież umilkły rozmowy.

Tylko w najdalszej grupie, postępującej na szarym końcu, ktoś rzucił zapytanie.

„Jakto? to Szafrański tak dobrze zna Bojarskiego“.

„Oh! to dawne historje; zbliżyli się kiedyś na krótko w chwilach, które dla naszego autora były może najnieszczęśliwsze. — Widywano ich zawsze razem, trwało to przez kilka miesięcy przed wyjazdem Bojarskiego z Lechowa. Szafrański bardzo źle na niego oddziaływał; w jego towarzystwie mógł się Bojarski zmarnować z kretesem“.

„Dziwna rzecz, że tak chętnie odświeża te przykre wspomnienia“.

„Dziwna — to prawda. Ha! kto wie, może go studjuje, jako typ. Wszakże dla pisania „Wykolejonych“ — musiał dużo podobnych obserwować postaci“.

„Może go miał na myśli, pisząc swój dramat?“

„No, wątpię, żeby go tak idealizował Musiał go przecież znać dokładnie“.

Tymczasem Henryk zamienił parę słów ze Stefanem.

— Nic nie wiem o tobie, jakżeż ci się powodzi?

— Zawsze tak samo.

Henryk westchnął i pytał dalej:

— Praktykę masz?

— Oh! tak, tej nigdy nie braknie; moi pacjenci i ja to nierozłączne i dobrze dobrane towarzystwo: oni goli — ja goły i dzielimy się tem, co mamy.

— Zawsze tak samo niezależny i samotny?

— Jeżeli nie liczyć krawców i szewców, i gospodarza domu, to istotnie nie zależę od nikogo i żadnych nie miewam gości.

— A żona?

— Umarła.

— A córeczka twoja, ta mała, śliczna Reginka?

— Jest dziś dużą Reginą — ale już nie śliczną. Na wsi jest; przyjęła miejsce nauczycielki. Biedne to, anemiczne, za dużo pracuje i z takim samym jak ja, rezultatem.

Rozmowę przyjaciół przerwali inni, tylko znowu, gdy miano zasiąść do stołu, Henryk szepnął Stefanowi:

— Usiądź blisko, to jeszcze, choć dorywczo, porozmawiamy.

Współbiesiadnicy naturalnie uszanowali wolę jubilata, choć przyjaciel jego miną i strojem swoim dziwnie trochę odbijał od dostojnego i eleganckiego towarzystwa. On sam czuł się początkowo onieśmielony, ale po chwili odzyskał swobodę człowieka, który niczem się nie krępuje, bo niczego się nie boi i niczego nie spodziewa.

Henryk tymczasem przybrał swoją urzędową, konwencjonalną minę; grzecznie odpowiadał sąsiadom na mądre i mniej mądre okolicznościowe pytania, nużące swą jednostajnością.

Dzieliły się one na dwie kategorje: jedne obracały się koło następującego tematu:

— Czy Lechów bardzo się zmienił? Czy pan tu dużo spotkał znajomych?

Inne odnosiły się do literatury i stanowiły formalny egzamin:

— Co pan sądzi o Sudermanie?

— Jak się pan zapatruje na Maeterlincka?

— Czy pan się zgadza z poglądami Tołstoja? — etc.

Dziwnie mało było wzmianek o przeszłości, spędzonej w Lechowie. Jednakże wśród obecnych znajdowalic się ludzie, którzy niegdyś znali Bojarskiego. Dawniejsi współzawodnicy, których pozostawił za sobą, dawniejsi koledzy, którzy mu się obcymi stali, wśród najstarszych byli i tacy, co jego pierwszymi kierowali krokami.

Jeżeli jednak rozmowy prywatnej nie zaczynano z tego tonu, to odzywał się on niezmiennie w wygłaszanych toastach.

Pierwszy przemawiał jeden z najstarszych obywateli imieniem rodzinnego miasta. Były w tej mowie wzruszające ustępy, ustępy prawdziwie poetyczne.

— Tu stała kolebka naszego mistrza — od chwili przyjścia na świat oddychał tem, co my powietrzem, ta sama ziemia go karmiła, te same piosenki kołysały. Stoją jeszcze te mury, w które wstępował, jako uczeń w szkolnym mundurku, spiesząc wraz z towarzyszami po pierwszy swój umysłowy zasiłek. A wszystko, co wziął od społeczeństwa, co z rodzinnego grodu wyniósł, jako zapas podróżny, pomnożył tysiąckrotnie i oddał mu z lichwą, gdyż otoczył sławą nasze miasto — itd. itp.

Naturalnie zaznaczano też z wdzięcznością, że Bojarski, który żadnych jubileuszowych hołdów nie przyjmował, właśnie dla Lechowa uczynił wyjątek.

Henryk podziękował w kilku słowach, w końcu nadmienił:

— Szczerość każe mi wyznać, że pobudka mego przybycia do Lechowa była całkiem egoistyczna. Rok snuje się za rokiem niepostrzeżenie, człowiek, pochłonięty pracą codzienną, lub myślą o jutrze, rzadko wzrokiem wstecz rzuci i obliczy się ze sobą. Głosy ży-

czliwych czytelników moich przypomniały mi, że praca moja trwa już ćwierć wieku, że mniej przyszłości przedemną - więcej pozamną przeszłości zostało. Już pora na obrachunek; pora zmierzyć wzrokiem drogę przebytą, westchnienie lub łzę wspomnieniom poświęcić. Dla tego przybyłem do Lechowa. Sam sobie chciałem zaznaczyć dwudziestopięcioletnią rocznicę rozpamiętywaniem jubileuszowem. Takie dumania są zawsze smutne. Miejsca, w których ubiegła młodość i wiek dziecięcy — oglądane po latach wielu, mają cóś wspólnego z cmentarzem. Przypominają się dawni — dziś nieżyjący ludzie, dawne — już zapomniane wrażenia, dawne wypadki, których nawet już echo przebrzmiało. Dlatego wybaczcie mi, szanowni panowie, że może chwilami trudno mi się będzie dostroić do waszego wesołego i pogodnego humoru. Dla was ta uczta jest rozrywką, w której każdy szuka tego, co istotę każdej rozrywki stanowi: zapomnienia. Ja nie mogę zapomnieć — ja pamiętam.

Ostatnie słowo, z naciskiem wymówione, większość uczestników przyjęła oklaskami. Kilka par oczu jednak zwróciło na jubilata pytające, badawcze spojrzenie.

Imieniem prasy przemawiał jakiś siwy redaktor. Między innemi chlubił się tem, że jego pismo stanowiło szkołę dla młodych autorów, przypisywał sobie zdolności literackiego Kolumba, gdyż niejeden odkrył już talent, a z chlubą wspomina, że dziś tak sławny Henryk Bojarski też niegdyś przy jego biórku redakcyjnem pracował.

— Już wtedy przepowiadałem mu wielką przyszłość, lecz nie przewidywałem tego, że danem mi będzie widzieć go jeszcze w dniu jego jubileuszu, otoczonego hołdami współziomków — itd. itp.

W tem miejscu Stefan rzucił półgłosem do Henryka:

— Słuchaj, ten stary wierzy w to, co gada. On nie pamięta.

Bojarski odpowiedział nieznacznem skinieniem głowy.

Jako przedstawiciel dawnych kolegów wystąpił wyłysiały szatyn, właściciel bardzo regularnego profilu i bardzo zapadłych policzków. W jego toaście powtarzał się ciągle mocno akcentowany wyraz „my".

— My szliśmy jedną drogą, hołdowaliśmy tym samym ideałom, walczyliśmy w jednym szeregu, ramię przy ramieniu.

Słowa te przeplatały sentymentalne do ubiegłej młodości westchnienia.

Bojarski dźwięk ten pochwycił — i wedle niego swoją odpowiedź nastroił.

— Otaczamy uznaniem, czcią, szacunkiem dwudziestopięcioletnie zasługi, lub mniemane zasługi, talenty stęplowane aprobatą opinji publicznej. Zapominamy o tem, że talenty takie, to stara, wytarta moneta, skazana na wycofanie z kursu. W jej skład oprócz szczerego złota natchnienia wchodzi i mięszanina podlejszych kruszców, komunałów, zdobywających popularność, ustępstw na rzecz pojęć przeciętnych, kompromisów z bieżącymi poglądami. Właśnie ta przymieszka zapewnia zbyt owej monecie, jest ze względów praktycznych nieuniknioną, ale bądź co bądź obniża jej wartość. Tylko młody zapał, młode natchnienie stanowią ów najcenniejszy pierwiastek twórczości, owo szczere złoto, z którego się kapitał dla przyszłości bije. Wszyscy wiemy, że starość szanować trzeba, ale któż pamięta, że młodości szacunek się należy. Szanujmy w niej jej skarby fantazji i uczuć, szanujmy jej zapał, jej porywy, jej twórczą potęgę; szanujmy w niej przyszłość kraju. Niech żyje młodość!

Niewiadomo, czy pod wpływem rozbudzonych wspomnień, czy wskutek podniecającego działania mocnego wina Henryk coraz więcej się ożywiał — twarz jego zwiędła nabierała blasku. Oczy rzucały błyskawice. Wzrok jego nie był rozpromieniony, tryumfujący, radośny, ale znać w niem było uniesienie wciąż wzrastające, jak gdyby burzę wewnętrzną, która lada chwilę wybuchnąć miała.

(C. d. n.). *Moszczeńska.*

Wiadomości bibljograficzne.

Jeż T. T. Kuźma Jeż. Opowiadanie z dawnych czasów. Z powieści T. T. Jeża „Historja o pra-pra-dziadku". Z upoważnienia autora skróciła Faustyna Morzycka. Wydanie drugie. Warszawa.

Kierski Kazimierz Mszczuya. O odpowiedzialności karnej małoletnich przestępców podług prawa polskiego. Warszawa.

Kraus Kazimierz. Socjologiczne prawo retrospekcji. Odbitka z Ateneum. Warszawa.

Morawska Z. Z życia małych dzieci. Dwadzieścia cztery powiastek dla dziatwy poczynającej czytać. Wydanie trzecie z 6 rycinami kolorowanemi. Warszawa.

Z drukarni Z. Golloba.